

Dużo tekstu, trochę rytmu, mało sensu

Piknik pod Wiszącą Skalą, reż. Mira Mańka, Teatr Współczesny w Szczecinie

Juliusz Tysza

aA aA aA

Przestrzeń gry jest prostokątna, długa na kilkanaście metrów, szeroka na kilka, ograniczona firankami, które rozciągnięte są po wszystkich jej bokach. (Nawiasem mówiąc, nie jest to wygodne dla widzów siedzących w drugim rzędzie, na obu skrajach podłużnie rozciągniętych trzech rzędów siedzeń, bo widzą dużo mniej niż ci siedzący pośrodku). W lustrzanej podłodze odbija się jak w krzywym zwierciadle wszystko, co dzieje się w scenicznej przestrzeni. Zwierciadło, nie krzywe, w kształcie okręgu, zwisa nad środkiem terenu gry. A środek ten w trakcie wchodzenia widzów do sali jest zajęty przez pięć młodych kobiet ubranych w białe stroje gimnastyczne. Na czołach mają przyklejone karteczki z nazwiskami różnych gwiazd i znakomitości: grają w „Szalone czoło, zgadnij, kim jestem”. Tyle że postaci, jakie usiłują odgadnąć, są jak najbardziej współczesne i nie mają nic wspólnego z epoką wiktoriańską, pod koniec której, w roku 1900, w Australii dzieje się akcja powieści Joan Lindsay *Piknik pod wiszącą skalą* (pierwsze wydanie: 1967). A właśnie adaptację tego utworu, dokonaną przez Marcina Miętusa i wyreżyserowaną przez Mirę Mańkę, zaczynamy oglądać w Malarni Teatru Współczesnego w Szczecinie.

Czyli na samym początku dostajemy jasny sygnał, że to, co dzieje się na scenie, dotyczy nie tylko spraw dawnych i odległych, lecz również naszej „postprawdziwej” epoki. Jakże do niej pasuje audioturski komentarz Lindsay: „Czytelnicy muszą sami zdecydować, czy wypadki opisane w *Pikniku pod Wiszącą Skalą* są zmyślone czy prawdziwe. Ponieważ ów fatalny piknik odbył się w roku tysiąc dziewięćsetnym i wszystkie postaci występujące w książce dawno już nie żyją, wydaje się to nieistotne”.

Co ze spraw przedstawionych na scenie może być dla nas ważne? Czego istotnego się dowiadujemy ze scenicznej akcji oraz wypowiadanych na scenie obszernych tekstów? Niewiele, bardzo niewiele.

Najpierw mamy wypowiedziany przez jedną z kobiet opis połączonej z pensjonatem szkoły dla młodych panien, gdzie drzwi w części mieszkalnej nie mają zamków. Potem na metalowych poprzeczkach, które zwisają mniej więcej metr nad podłogą, ubrane na biało aktorki (domyślamy się, że grają one australijskie pensjonarki) kładą okrągły metalowy blat. Zaczyna się jakaś dziwna gimnastyka, do której najwyraźniej panny zostały przygotowane i odpowiednio przyodziane. Jest całkowicie współczesna, dostrzegam w niej ślady jogi, na pewno bardzo daleko jest od tego, co pamiętamy z lekcji gimnastyki, która jest uwieczniona w filmowej adaptacji *Pikniku* – nieśmiertelnym dziele Petera Weira (1975). Czyli znowu dane jest nam tutaj całkiem współczesne odniesienie i czytelny sygnał: nas to też dotyczy.

Co z tego wynika? Na razie nic (potem także nic). Póki co mamy chwilę później kolejny nader aktualny wtór, który zawiera jakąś dziwną metanarrację: cztery panie się gimnastykują, a jedna wypowiada monolog o ilości oddechów, jakie my, wszyscy widzowie, wykonamy podczas spektaklu, potem prawi nam o bakteriach, jakie w sobie mamy, jeszcze później o ilości mrugnięć okiem, jakie wykonujemy w ciągu dnia, a które składają się na pokaźny okres ciemności, w jakiej się odruchowo pogrążamy. Następnie przechodzi do rozważań o mózgu, wzroku i słuchu. Kończy bolesnym wyznaniem, że czuje się jak płaski ludzik percypujący wzrokowo inne byty ludzkie w formie figur geometrycznych. Jak to się ma do akcji oraz przesłania *Pikniku pod Wiszącą Skalą*? Pewnie jakoś tam się ma – może jest to nawiązanie do refleksji jednej z bohaterek powieści i filmu, która, spoglądając z wysokości na krzątających się u podnóża skały ludzi, przyrównuje ich do mrówek, zaznaczając tym samym swój wobec nich dystans, znajdując się już w innym, magicznym wymiarze świata? Tyle że ktoś, kto nie przeczytał książki Lindsay ani nie obejrzał filmu Weira, nie jest w stanie wpaść na ten trop. „Płaska” dziewczyna przynależy w szczecińskiej Malarni do dziwnego, naukowo definiowanego świata oddechów, bakterii, mrugnięć, funkcjonowania mózgowych zwojów...

Na scenie znajduje się już wtoczony tam uprzednio, w trakcie trwania akcji spektaklu ruchomy, stelaż z wieszakami, na których wiszą białe bluzki. Pod stelażem stoją czarne wysokie buty – znak, że wkrótce panny z pensji pani Appleyard wyruszą na feralny piknik.

Dowiadujemy się dalej z monologu Irmy (Katarzyna Zarychta), że jest ona wyrocznią w sprawie elegancji oraz towarzyskich form. Potem Edyta (Magdalena Wrani-Stachowska) opowiada długo i rozwlekle o swoim permanentnym głodzie i liczeniu minut dzielących ją od kolejnego posiłku. Dodajmy od razu, iż Edyta jest osamotniona w swych narzekaniach na wyżywienie, reszta panien ani nie potwierdza jej skarg, ani też im nie zaprzecza.

Teraz pora na monolog Mirandy (Adrianna Janowska-Moniuszko), miłośniczki roślin, nazywanej przez inne „pięknym labedziem”. Padają kultowe zdania: „Nie zabawię tu już długo”, oraz to najważniejsze, powtarzane wielokrotnie w filmie Weira: „Wszystko zaczyna się i kończy we właściwym czasie i miejscu”.

Kolej na Sarę (Anna Berek): napisała wiersz o Mirandzie, którą kocha, a ponadto tęskni za bratem, od którego ją oderwano przy opuszczaniu sierocińca. (Wątek zaginionego brata, szalenie istotny w książce i w filmie, już się tu więcej nie pojawi, zatem po co został w ogóle wprowadzony do spektaklu?). Sara wypowiada też po raz pierwszy (lecz nie ostatni) tekst nieobecnej na scenie pani Appleyard, informujący o tym, że jej (tzn. Sary) opiekun wpłaca regularnie pieniądze za jej pobyt w pensji. (O tym, że potem to się zmienia, napędzając agresję przełożonej wobec pensjonarki-sieroty, nic dalej nie ma. Ale przynajmniej wątek opiekuna będzie jakoś tam domknięty). Przełożona ostrzega też dziewczętą ustami Sary o niebezpieczeństwach czających się na wycieczkowieczki pod Wiszącą Skalą.

Czemu pani Appleyard nie pojawia się na scenie we własnej osobie? Czemu reżyserka zadecydowała, że akurat sceniczna Sara ma wypowiadać jej tekst? Na (zbyt wątej?) podstawie jednorazowego, uważnego obejrzenia spektaklu nie potrafię odpowiedzieć na te pytania.

Dalej dzieje się to, co znamy doskonale z książki Lindsay i filmu Weira: wyprawa czterech pensjonarek na „krótką eksplorację skały”, której skutkiem jest zaginięcie trzech dziewcząt i nauczycielki. Ze szczegółów scenicznej akcji ważna jest najpierw demonstracja, potem porzucenie na podłodze dwóch parasoli z wizerunkiem Hanging Rock (ciekawe: widocznym w ich środku, nie na zewnętrznej stronie) oraz przytulenie się do siebie trzech pensjonarek, do których po chwili dołącza stojąca dotychczas w głębi, za firanką Sara. To kluczowy moment spektaklu: wyosobniona ze społecznego kontekstu, pełnego sztywnych konwenansów, jedność czterech młodych kobiet w obliczu niezgłębionych, niespokromionych sił natury. Ale to wiem po wielokrotnym obejrzeniu fascynującego mnie od bardzo dawna filmu Weira i po przeczytaniu tekstów z programu szczecińskiego *Pikniku*. Z akcji przedstawienia wynika to raczej słabo, jeśli w ogóle.

Edyta w międzyczasie ustawia z lewej strony mikrofon i śpiewa po angielsku nastrojową piosenkę o dniu świętego Walentego (bo w tym właśnie dniu odbyła się tamta wycieczka). Rozlegające się potem ostre, basowe dudnienie przypomina jako żywo podobne dźwięki ze wspomnianego tu już wielokrotnie filmu. TAM dookreślało ono nadprzyrodzone moce królujące w okolicy Wiszącej Skały i hipnotyczną grozę, jaką ich działanie wzbudzało w ludziach zabłąkanych wśród „żywych kamieni”. Co dźwięki te obrazują dziś TU, na szczecińskiej scenie? Trudno to określić. Pewnie to samo, ale jak mogą je interpretować ludzie, którzy nie znają filmu?

Powrót do zakłóconej (jeszcze nie wiadomo, że na zawsze) normalności pensji pani Appleyard symbolizuje rozłożenie na kocu piknikowych rekwizytów. Przesłuchiwana jest Edyta, potem chłopcy – panicz Michael i stangret Albert (na scenie ich nie ma, obecni są w relacji którejś z panien. Nic przy tym nie jest powiedziane ani zaznaczone na temat bliskiego pokrewieństwa Alberta i Sary – wątek ich okrutnego rozdzielania, a potem tragicznego „odnalezienia się” brata i siostry we śnie zostaje tu ostatecznie pogrzebany i zmanowany).

Dziewczęta zdejmują białe, sznurowane z tyłu bluzki (to znaczący gest), ich przydziewek ogranicza się znów do strojów gimnastycznych, a potem rozlegają się już tylko podane przez głośnik suche informacje: Sarę zabrał jej opiekun (klamstwo pani Appleyard jest tu przekazane bez żadnego komentarza, dopiero chwilę potem dowiemy się o śmierci Sary), Irma została znaleziona i ocalona. Sara (znów w roli przełożonej) przysłuchuje ją.

Potem dowiadujemy się, że umarły Sara i pani Appleyard (bez podania szczegółów), a na koniec, że budynek pensji spłonął w pożarze buszu.

Postarałem się w miarę szczegółowo opisać to, co usłyszałem ze sceny, a także to, co na niej dostrzegłem, a co uzupełniało wypowiadany tekst, nie tylko dlatego, by uzasadnić przed PT Czytelniczkami i Czytelnikami mój krytyczny osąd tego przedsięwzięcia. Nie tylko. Bo także samego siebie; chciałem do końca przekonać i upewnić się, że *Piknik pod Wiszącą Skalą* w szczecińskim Teatrze Współczesnym to dramatyczny gniot. I upewniłem się: nic tu się nie trzyma kupy, a cała finezja i cała groza książki Lindsay (nie mówiąc o wspaniałym, „hipnotycznym” filmie Weira) gdzieś się gubią. Gubi się też przemoc starszych wobec młodszych, posiadających władzę nad podporządkowanymi, mężczyzn wobec kobiet, ludzi szlachetnie urodzonych wobec ludzi z niższych klas, tak dosadnie pokazana w książce i w filmie, a tak słabo, cieniutko i powierzchownie obecna w spektaklu Miry Mańki wedle scenariusza Marcina Miętusa. Pozostaje coś na kształt thrillera: jedne poszły i zniknęły, drugie zmarły. Gdzie, po co, dlaczego – tego nie wie nikt.

Jak słusznie się wyraziła pewna osoba, z którą rozmawiałem zaraz po premierze, całą akcję tego spektaklu można odczytać jako niezdarną inscenizację streszczenia dzieła Joan Lindsay dostępnego na skrzydełku książkowej okładki. Nie różny przy tym krzywdy autorom takowych streszczeń i dodajmy od razu, że to, co zostało wypowiedziane i pokazane w Malarni Teatru Współczesnego, oparte jest na streszczeniu „samoswoim” – koślawym, bardzo niepełnym, pozbawionym wielu istotnych szczegółów, wypaczającym przesłanie książki Joan Lindsay.

Wszystko, co by się ewentualnie dało pochwalić w szczecińskim Pikniku dotyczy rytmicznej kompozycji dźwięku i ruchu. Ciekawie, oryginalnie pomyślane sceny gimnastyki pensjonarek, nagle, znaczące zwolnienie ruchu w scenie nawlekania sznurowadeł na wysokie, czarne buty; scena wzajemnego zawiązywania sobie bluzek przez ustawione w szereg dziewczyny; rytmiczna kompozycja monologu Edyty, dyrygującej uderzeniami partnerek o metalowy blat i o podłogę; intrygująca scena układania sztuców wokół leżącej (i wciąż gadającej o jedzeniu) Edyty, która na koniec zgarnia gwałtownie wszystkie łyżki, noże i widelce w zwarty stos nad swoją głową; oryginalne, „aborygeniskie” dźwięki wydobywane za pomocą smyczka przesuwanego nad górnym otworem wypełnionych wodą naczyń...

Wszystkie te ciekawe pomysły są jednak, niestety, ni tylko reliefami lub gzymsikami (metafora architektoniczna) albo trylami czy też fioriturami (metafora muzyczna) w fałszywej, zepsutej u podstaw kompozycji tego spektaklu.

Można też, ku pocieszeniu serc, spojrzeć na to dzieło od strony organizacyjnej, wtedy wszystko (niemal) się zgadza: pięć młodych aktorek na raz ma zajęcie, umożliwiło się popolenie młodzińskich błędów dwójgu obiecujących twórców (gdzieś w końcu te błędy muszą robić, by potem kreować arcydzieła), zrobiło się w miarę tani spektakl, wypełniając repertuarowy plan. Czyli nie ma tego złego...

13-05-2020

Teatr Współczesny w Szczecinie
Joan Lindsay
Piknik pod Wiszącą Skalą
(Picnic at Hanging Rock)
tłumaczenie: Wacław Niepokółczycki
reżyseria: Mira Mańka
adaptacja i dramaturgia: Marcin Miętus
scenografia, kostiumy, projekcje i reżyseria świateł: Anna Rogoź
muzyka: Michał Łazarz
choreografia: Katarzyna Sikora
obsada: Adrianna Janowska-Moniuszko, Barbara Lewandowska, Katarzyna Zarychta (gościennie), Anna Berek (gościennie), Magdalena Wrani-Stachowska
polska prapremiera: 7.03.2020

MIRA MANKA MARCIN MIĘTUS ANNA ROGÓŻ KATARZYNA SIKORA MICHAŁ ŁAZAR

TEATR WSPÓŁCZESNY

Piknik pod Wiszącą Skalą, reż. Mira Mańka, Teatr Współczesny w Szczecinie



Fot: fot. Piotr Nykowski



Oglądasz zdjęcia 1 z 5

POWIĄZANE TEATRY



Teatr Współczesny

PRZECZYTAJ TEŻ



Kres patriarchatu?



Wiele znanych słów



Na fall Gombrowicza



Brave: odwaga wykluczonych



Powrót na granicę



Przyszłacy bogowie

BĄDZ NA BIEŻĄCO

